Świat powieściowy.

Nr. 130 **Tygodnik belletrystyczny.** Rok III.

Złamany a nieugięty.

Powieść w trzech częściach.

(Ciąg dalszy)

CZĘŚĆ TRZECIA.

Dziesięć lat minęło od chwili, w której Arnold Kohlmann, bez ułożonego naprzód zamiaru samobójstwa, rzucił się machinalnie w chwili rozpaczy w głębie Dunaju i zniknął z widowni świata. — Dziesięć lat jak piękna Paula, zamiast śmierci, której szukała, znalazła kalectwo. Biedne dziecię otworzyło oczy na to tylko, by przekląć chwilę, w której dziesięciu może lekarzy przywołało ją do życia i przytomności.

Rozpacz jej nie do opisania graniczyła z szaleństwem. Gdyby była mogła powstać na nogi, gdyby mogła była jedną chwilę być sama, byłaby niezawodnie szukała sposobu wyzwolenia się od życia, które stało się dla niej teraz męczarnią.

Arnold! Arnold! Co się jemu stać mogło?! Dlaczego samobójstwem zakończył życie, które kilkanaście godzin przedtem, zdawało się być dla nich przedsionkiem wiecznej szczęśliwości?!

Myśli te, pytania zadawane samej sobie i czarowne wspomnienia, nie dawały jej chwili spokoju i nie pozwalały nawet znaleźć ulgi we śnie.

Nie chciała przyjmować żadnego pokarmu — chciała się zagłodzić, chciała się udusić. Jakimkolwiek sposobem, byle umrzeć! Zrywała bandaże, które krępowały złamane nóżki, kąsała siebie i lekarzy, krzyczała, zrywała się, przeklinała wszystkich i wszystko, złorzeczyła i bluźniła okropnie! Rozpacz to była nie człowiecza, ból nie kobiety chrześcianki, lecz było to coś nakształt zranienia dzikiego zwierzęcia, którego głęboka rana, cierpienie w wściekłość zamieniła!

Nie byłaby mogła długo wytrwać w podobnym stanie, gdyby nie gwałtowne zapalenie mózgu, połączone z tyfusem, które nareszcie powaliło ją na łoże boleści i na długie tygodnie odebrało przytomność. Starania i ratunek miała książęcy, bo generał nie szczędził niczego, by zatrzymać jej życie, tak silnie zagrożone.

Lekarze nie czynili prawie nadziei, jednakże młodość i silna natura zwyciężyły, a po kilku tygodniach Paula otworzyła oczy i oprzytomniała.

Szybko przychodziła do zdrowia i jak to zwykle z takimi gwałtownymi charakterami się dzieje, gdy pierwsza dzika rozpacz minęła, zaczęła wraz z nabywaniem sił fizycznych uspokajać się powoli.

Niemoc nóg kilka jeszcze miesięcy przykuwała ją do łóżka lub fotelu, i teraz dopiero poważniej i trzeźwo patrząc się na życie, widziała jak drogą musiała być generałowi, który nie tylko, że obsypywał ją wszystkiem, o czem zamarzyć mogła, ale stał się sam jej matką, piastunką, sługą.

Rozmawiała z nim zawsze prawie o Arnoldzie, płakała palącemi łzami, i dzień po dniu, godzina po godzinie, opowiadała mu dzieje swej miłości, szczęścia, roskoszy. Zdawała się żyć tylko temi wspomnieniami.

Lemański posmutniał. Czy na dnie serca czuł się winnym śmierci syna i boleści tej pięknej, młodej istoty, czy może pojął, że uczucie jej dla Arnolda nie było lekkie i przemijające, lecz prawdziwe i wielkie, dość, że posmutniał i czuł, że szczęście upragnione choć na pozór blizkie, dalekie jednak od niego.

Paula przyszedłszy zupełnie do zdrowia odzyskała dawną piękność. Śliczne, złote włosy, obcięte w czasie choroby, odrosły znowu. Duże, czarne, we łzach skąpane oczy, nabrały wyrazu bardziej tajemniczego, blade lica okrasiły się lekkim rumieńcem, tylko na koralowych ustach uśmiech był smutny, i owe nóżki, podziwienie

wzbudzające lekkim i sztucznym tańcem, straciły zwinność i elastyczność, i zamiast nadpowietrznych skoków zadawalniać się musiały powolnym i poważnym krokiem.

Paula nie mogła już być baletniczką. Pojęła to dobrze i zrozumiała, że bez starań i pomocy generała czeka ją nędza, straszliwa nędza, którą znała tylko z imienia, jak się zna zaczarowane królewny z bajek piastunek.

Paula zlękła się tego widma, które zdawało się wyszczerzać do niej zęby. Zlękła się głodu, bała się łachmanów, któremi, pamiętała, odziana była w dzieciństwie. Przypomniała sobie, o czem dawno wśród zbytkownego życia zapomniała, że miała matkę, i że ta ciężką, upokorzającą pracą i posługą, okupywała każdy kawałek czarnego chleba, którym siebie i dzieci żywiła. Na wspomnienie smaku czarnego chleba skrzywiła się i wyciągnęła prędko rękę białą i delikatną po sorbet i pomarańczę.

— Gdyby Arnold żył — myślała biedna dziewczyna — chodziłabym w grubem płótnie i jadła postne kartofle; mieszkałabym w zapadłej chatce i naprawiała od rana do nocy starą, cudzą bieliznę za kilkanaście centów. I byłabym szczęśliwa, śmiałabym się dzień cały i spiewała wesoło jak ptaszek. Ale Arnolda nigdy już nie ujrzę, nigdy — nigdy! Mój Arnold najdroższy uciekł przedemną na dno Dunaju! Och, Boże mój, Boże! cóż ja mu zrobiłam tak złego? Tak go kochałam! tak go kocham dziś jeszcze!.... Lecz nie mogąc żyć i poświęcić się dla niego, dlaczegoż mam wybierać żywot nędzy i upokorzenia, kiedy w moim nigdy nieuleczonym smutku, mogę przynajmniej żyć w stosunkach, jakie mię otaczają od najmłodszych dni moich!...

Paula oswajając się z tą myślą, z smutnym uśmiechem i łzami podała dłoń swoją generałowi, gdy w pół roku po tragicznych wypadkach wyżej opisanych, błagał, by została jego żoną.

— Słuchaj Paulo — mówił do niej — jeżeli odmówisz mi znowu, odepchniesz jak dotąd, nie naprzykrzę ci się już więcej, ale pamiętaj, że gorzko pożałujesz krzywdy, jaką mnie uczynisz. Ja odjadę daleko, na zawsze, a ty... powiedz co ty poczniesz? Wejdź w siebie, w istotę rzeczy, zastanów się i powiedz co wolisz, czy życie wystawne i świetne, nazwisko i majątek, które ci otworzą podwoje najarystokratyczniejszych salonów, a po nad to wszystko opiekę i miłość człowieka, który cię kocha bez granic — czy życie wśród łez, upokorzenia i niedostatku? Ty, jako moja żona, odbierać będziesz hołdy przynależne twej piękności i stanowisku, zaś jako Paula Salden, dziś już nie mogąca upajać publiczności jako pierwsza baletniczka, będziesz dla jednych przedmiotem litości, dla drugich szyderstwa, i ci z roskoszą rzucą na ciebie pociski swej opinji, nie mogąc ci przebaczyć, iż były chwile, w których byłaś królową. Zastanów się Paulo!...

— Już się zastanowiłam — odrzekła cicho i podała mu obie ręce. — Bierz mię biedną kalekę. Nie umię pracować, a boję się nędzy... Kochałam Arnolda i dziś kocham go tak samo — prócz niego nic i nikogo. Będę ci wierną towarzyszką życia i starać się będę odpłacić twą szlachetną opiekę i wszystko, czem mnię, sierotę, obdarzasz... — i załkała cicho.

Ale generał na klęczkach już dziękował za szczęście, którego nić złotą chwycił nareszcie, i daleko jeszcze było do roku od smutnej tej całej katastrofy, gdy piękna Paula została żoną generała Lemańskiego.

W kilka tygodni po ślubie generał podał o dymisję i z młodą żoną wyjechał w podróż, zamyślając wojażować choćby naokoło świata, byle tylko w drodze mogła Paula zgubić smutek, którego przepych książęcy nie mógł rozprószyć.

Dłuższy czas zatrzymał ich Paryż, później Neapol, Rzym, Florencja. Zwiedzali najpiękniejsze okolice, zachwycali się tworami natury i sztuki, i powrócili nareszcie znowu do Paryża, gdzie otworzywszy salony zdumiewające elegancją i przepychem, Paula zajaśniała swą pięknością, dowcipem i tym urokiem, który zwykle otacza młode i piękne kobiety, przy boku starego męża, który nie mając siły zabronić jej świecić wszędzie, gdziekolwiek się pokaże, zmuszony jest dzielić jej tryumfy, odgrywając rolę strzegącego Argusa.

Znaczny majątek generała powiększył się jeszcze dziwacznym zapisem milionowej krewnej, która nie znając go zupełnie, przekazała prawem sukcesji cały swój majątek, kładąc jeden tylko warunek, by od dnia objęcia spadku przybrał jej nazwisko „Delija.“ Jeżeliby na to przystać nie chciał, majątek cały miał przejść na cele dobroczynne.

Generał nie miał wcale chęci zrzec się tak

znacznej fortuny, wolał więc odtąd nazywać się hrabia Wiktor Delija Lemański.

Wkrótce jednak za długie to dla obcych nazwisko starano się skrócić, i on sam ani się spostrzegł, kiedy własne dawne odpadło, a oni znani byli pod nazwą hrabstwa Delijów.

Paula długo nosiła w sercu ciężką żałobę. Czas jednak i wszystko, co ją otaczało, rozsuwało powoli mgłę smutku z alabastrowego czoła. Świat i życie w warunkach, w jakich pozostawała, uśmiechały się roskosznie i wabiły ku sobie. Przypomniała sobie dawne, świetne powodzenie na arenie świata i zapragnęła przekonać się, czy i dziś jeszcze zdolna by była błyszczeć jak dawniej, a popierana namowami i prośbami męża, rzuciwszy się raz w ten wir zabaw i uciech, za co jej sowicie płacono hołdami i uwielbieniem, doznawała jakiegoś upojenia, roskosznego szału, który jednak nie miał nic wspólnego ze szczęściem.

O! bo młoda hrabina nie była wcale szczęśliwą!

Przy bliższem, codziennem zetknięciu się z mężem, odkryła wiele stron ujemnych w jego charakterze i osobie, a nie kochając go, zrażała się niemi, i tem częściej w roskosznych wspomnieniach szukała ulgi, które były dla niej tem, czem jest użycie opium dla chorujących na bezsenność.

Czuła się niemal nieszczęśliwą wśród całego przepychu, którym była otoczona. Były chwile, w których myślała uciec choćby na kraj świata, byle nie czuła kajdan złotych, które ją przykuwały. Niekiedy zamykała się całemi tygodniami, nie wyjeżdżała nigdzie i nie przyjmowała nikogo, pędząc życie pustelnicy; to znowu wpadając z jednej ostateczności w drugą, nie szukała nawet wytchnienia wśród zabaw i balów, pociągając za sobą tłum wielbicieli, z których się śmiała i szydziła niemiłosiernie. A gdy zmęczona fizycznie i moralnie zostawała nareszcie sama z sobą, padała w rozpaczy na sofę i łkając wołała:

— Arnoldzie, Arnoldzie, zjaw mi się choć z za grobu raz jeden!...

W chwili, w której trzecią część naszej powieści rozwijamy, hrabstwo Delijowie opuścili Paryż i udali się do dóbr swoich, zamyślając czas dłuższy tamże przepędzić.

Było to życzeniem obojga.

Hrabina znudzona gwarnem i czczem życiem, zapragnęła odetchnąć powietrzem spokoju i swobody. Hrabia szybkim krokiem zbliżał się ku starości, a nie mogąc już teraz mimo używania najróżnorodniejszych kosmetyków, przyznać sam przed sobą, że jeszcze czerstwo i dobrze wygląda, wolał skryć wiek swój, który jakby mszcząc się za nieuszanowanie młodości, występował coraz wyraźniej wraz z wszystkiemi dolegliwościami, jemu właściwemi, jak również ukryć młodą żonę, która dziś mając lat dwadzieścia osiem, była w całej pełni życia i piękności, dla niego jednak coraz zimniejsza i obojętniejsza.

Dobra odziedziczone po zmarłej krewnej były bardzo rozległe i położone w najpiękniejszej okolicy Galicji. Tam więc osiedlili się hrabstwo i używali wszystkich przyjemności wiejskiego życia, jakie tylko przy wielkim majątku i nawyknieniach wielkopańskich obojga, były na wsi możebne.

Hrabina od czasu do czasu jak meteor ukazywała się na widowni wykwintnych towarzystw, tak sąsiedztwa wiejskiego jak stolicy, i jak tajemniczy kometa pociągała za sobą wszystkich. Mówiono wszędzie i wiele o niej. Rozpowiadano sobie na ucho jedne od drugich niepodobniejsze awantury, zdumiewano nad jej stałością dla starego męża, dziwiono się jej częstemu smutkowi, któremu nie opierała się wcale, gdy chwilami ją napadał, nie mogąc pojąć, jak kobieta tak piękna, bogata i uwielbiana, może być smutną! Inni, a nawet ci sami, dziwili się nieskończenie, jak może być czasami szalenie wesołą, będąc młodą i pełną życia, a żoną starca dziś prawie zgrzybiałego, którego ozdobą były li tylko złote ordery, klucz szambelański i t. d.

Drugi rok mieszkali już na wsi, gdy stary hrabia tracąc naraz siły, został przykuty do fotelu otrętwieniem nóg i drżeniem wszystkich członków. Nie uczuł jednak tego ciosu tak, jakby można się spodziewać, a to z powodu, że i władze umysłowe zwolna zaczęły słabnąć i popadł nareszcie w stan ciągłej drzemki, z której prawie niepodobna było go rozbudzić, chyba podsunięciem wykwintnej jakiej potrawy, na której to aromat wnet otwierał oczy. Jedyną i największą przyjemnością dziś dla niego były delikatesy sztuki kucharskiej, to też z całą wybrednością delikatnego smaku zmieniał i bajecznie płacił z zagranicy sprowadzonych mistrzów sztuki gastronomicznej.

Nie cierpiąc wcale żadnego bolu, całą swą chorobę uważał za chwilową, a chociaż siedem-

dziesiąt lat już prawie dźwigał na swych barkach, obiecywał sobie jeszcze długie lata życia, a sprowadzając najsławniejszych lekarzy, płacił po królewsku za czynione mu obietnice, nie tylko powrotu do zdrowia, ale do dawnej krzepkości i czerstwości.

Cały ten proceder zmiany życia następował powoli i Paula miała czas tak się wzwyczaić, że nie czuła wielkiej przykrości z tego powodu. Liczna różnego rodzaju służba otaczała jej męża. Ona od czasu do czasu odwidzała go, to odczytując mu coś ze świeżo przyniesionych z poczty dzienników, to pytając o zdrowie i wlewając nadzieję w ten żyjący automat, to nareszcie siadała naprzeciw niego, wpatrywała się w wstrętną jego postać i zrywając raptownie odchodziła, nie pokazując się nieraz potem w pokoju męża dzień cały.

Jemu było to teraz zupełnie wszystko jedno. Szał namiętności ostatniej opuścił go już dawno, a dziś patrzył na Paulę, jak patrzyłby na każde inne piękne stworzenie, czy to na konia szlachetnej rasy, czy na psa jakiegoś niezwykłego, lub coś podobnego. Nigdy mu na myśl nie przyszło żałować kroku, który uczynił, pojmując ją za żonę. Cóż mu bowiem brakowało lub co miał żałować? Kobieta była młoda i piękna, wszyscy zazdrościli mu takiej żony, a że była zimna jak marmur, toż i on w krótkim czasie wyekspensował nienaturalne uczucie, które było więcej upartą fantazją starego libertyna magnata, jak rzeczywistym ogniem miłości. Nie mógł jej zarzucić ani jednej płochości, a że nie otaczała go troskliwością i pielęgnacją kochającej żony, toż w całej wyższej sferze, do której należał, było to w zwyczaju; zresztą sekretarz i liczna służba, lekarze i odwidzające go towarzystwo, zupełnie zaspakajały pod tym względem jego wymagania.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Spadek po wuju Hieronimie.

(*Ciąg dalszy*).

W izdebce skromnej ale czystej i pełnej złotych słońca promieni, w której rezydował pan Martin, jakoś księdzu lżej się na sercu zrobiło. Oprócz kominów i dachów szpiczastych, widział przez okno jedyne szmat nieba lazurowego, i kilka wierzchołków drzew wyniosłych, co wróciło mu spokój na chwilę utracony. Przed nim leżał stos zeszytów ukochanych, uśmiechających się i mrugających doń, niby twarze dobrych przyjaciół. Te dzieci ducha jego, wysnute z bujnej fantazji, czyż mu żywo nie przypominały cichego domku na probostwie, tonącego w wieńcu zieleni? owych dni i nocy bezsennych, które trawił, nizając melodje, jednę za drugą, niby perły czystej wody na sznurek? Teraz trud podjęty, miał mu przynieść owoce pożądane.

Bez zwłoki przystąpili do interesu, który księdza Jana do Paryża sprowadzał. Judyta oddana pod sąd znawców, Koryfeuszów w sztuce, których opinja pod względem muzyki była rozstrzygającą, została uznaną za dzieło pierwszorzędne, a kompozytor za człowieka z prawdziwym talentem, który może być pewnym świetnego w tym zawodzie tryumfu, i powinien dalej pracować w tym kierunku wytrwale, a dojdzie do wielkiej sławy. Trzeba było jednak zapoznać z tem dziełem publiczność, co przedstawiało trudności, prawie nie do przezwyciężenia. Teatra liryczne i przedsiębiorcy koncertowi, byli wiecznie zasypani partyturami dyletantów lub artystów początkujących, upadali formalnie i odetchnąć nie mogli, pod tą lawiną straszliwą. Trzeba było protekcji nadzwyczajnej, aby wogóle raczyli okiem rzucić na dzieło autora z nazwiskiem nieznanem, cóż dopiero mówić o autorze, który chce zachować najściślejsze incognito!

Zwrócić na nie tych panów uwagę, było po prostu marzeniem, chimerą niedoścignioną, czemś, na co by trzeba czekać latami, i w końcu jeszcze po zachodach i trudach największych, osiąść na lodzie. Gdyby tak proboszcz był pozwolił nazwisko swoje w kurs puścić, możeby dla samej oryginalności pracę jego przejrzano. Na tym punkcie atoli był niewzruszony; podobne eksploatowanie godności kapłańskiej wydawało mu się niemal świętokradztwem, i trwogą śmiertelną przejmowało. Jedna droga stała otworem, ta, po której bogaty li kroczyć może. I Margotta o tem przebąkiwała, jako osobistość, znająca na wylot ów świat zakulisowy, i sprężyny, które nim kierują. Tą drogą ksiądz Jan iść postanowił....

Nie przejrzał nawet dokładnie długiego spisu wydatków nieuchronnych, rzucił tylko okiem na sumę ogólną, wcale pokaźną, mimo iż to było obrachowanie pobieżne, przypuszczalne.

— Dobrze! — rzekł ksiądz Jan nie zawahawszy się ani chwili, tonem obojętnym. — Płacę za wszystko.

— Ejże proboszczu! — perswadował pan Martin — zastanówcie się lepiej nad tem, zanim przyjmiecie jakiekolwiek zobowiązania. Pomyślcie, iż wydatek może urość w razie niepowodzenia, o drugie tyle. Trzeba nająć salę, zamówić chóry, orkiestrę, solistów, wydrukować mnóstwo afiszów i ogłoszeń w dziennikach, jednem słowem, rozrzucać garściami pieniądze, a jeżeli publiczność sali nie zapełni?...

— Mogę płacić nie oglądając się po za siebie. Stać mnie na to. Oto adres mojego notarjusza, a tu blankiet na wydanie takiej sumy, jaką pan uznasz za po-

trzebną. Więcej o niczem słyszeć nie chcę!

Adolf Martin, uszczęśliwiony kredytem nieograniczonym, zastrzegł sobie wyłącznie zaszczyt urządzenia koncertu i dyrygowania całością. Z chórami i or kiestrą doborową, trudności nie było, bo za dobre pieniądze znajdzie się wszystko w Paryżu. Upatrzył już był sobie także barytona znakomitego do partji *Holofernesa* i kilku jeszcze solistów do ról pomniejszych. Najgłówniejszym filarem atoli, podtrzymującym niejako całą budowę, była sama *Judyt*. Pan Martin zaproponował od razu Alicję Cavalier, o której głosie i talencie pierwszorzędnym, wyrażał się z pełnym ognia zapałem. Ksiądz Jan czytywał nieraz recenzje muzykalne po dziennikach, a wszędzie i zawsze cytowali nazwisko pani Cavalier, jako artystki znakomitej, natchnionej, ze szkołą wyborną. Zgodził się więc na niewidzianego, z propozycją pana Martin. Wtedy zwierzył mu się Adolf, iż pewnym będąc z góry jego przyzwolenia, dał już nawet pani Cavalier jej partję odpisaną, z której ona, odczytawszy *prima vista*, umiała wydobyć efekta nadzwyczajne!

— Pójdźcie ze mną proboszczu i przekonajcie się sami. Uprzedziłem panią Cavalier i czeka nas dzisiaj.

— Ja iść do niej?... Ależ pan tego nie możesz mówić na serjo?

Księdza przerażenie wywołało uśmiech sarkastyczny na pełne usta młodego artysty.

— Nie lękajcie się proboszczu! Alicja Cavalier, nie jest bynajmniej taką... niebezpieczną!

— Ależ to w żaden sposób nie wypada ... w mojej sukni... w moim charakterze!

— Ba!... pozwólcie no tylko, żebym wam opowiedział jej życia historję!

I zaczął rozwodzić się długo i szeroko nad Alicją, z namaszczeniem, w którem drgało i dzwięczało uczucie dziwnie rzewne... Była to istotnie historja wzruszająca swoją wielką prostotą. W niczem nie była podobną do opowieści rubasznych, aż nadto wesołych i dekoltowanych poczciwej Margotty. Bo też Margotta była dziewczyną pustą, roztrzepaną, znającą zresztą tylko najniższe stopnie zakulisowe. I na deskach teatralnych, znajdzie się zdrowe ziarnko, obok kąkolu; wystrzeli nieraz kwiat bujny i wonny, wśród chwastu wstręt budzącego. Alicja, dziecko jedyne rodziców najzacniejszych, wykształcona ogólnie, nie potrzebowała piąć się po szczeblach, aby dójść do szczytu, nic zatem o mętach nie wiedziała, które u dołu osiadać zwykły. Ona od razu u góry zajaśniała, niby gwiazda pierwszorzędna, na sztuki horyzoncie, i to blask jej pierwszych występów, trwał nadzwyczaj krótko. W pół roku wystąpiła z opery, aby zaślubić człowieka powszechnie szanowanego, który mógł śmiało honor swój oddać w jej dłonie, gdyż schodziła ze sceny czystą, zostawiając po za sobą żal powszechny, i sławę najlepszą, nie skalaną ani jednem słówkiem obmowy, lub posądzenia. Mąż jej umarł w lat kilka ze zgryzoty, po stracie wcale ładnego mająteczku, zaprzepaszczonego w nieszczęśliwej spekulacji giełdowej. Znalazła się samotną z dwojgiem dzieci i prawie w nędzy! Mogła była wstępując napowrót na scenę, zapewnić sobie dobrobyt, zrobić nawet świetną karjerę. Widząc się jednak tak młodą, bez żadnej opieki, gdyż i rodzice już ją odumarli, lękała się ślizkiego zawodu spiewaczki teatralnej, wybrała raczej drogę żmudną i cierniami najeżoną, nauczycielki spiewu, pozwalając czasem tylko w oratorjach lub koncertach, aby jej nazwisko figurowało na afiszach i ogłoszeniach. Tym sposobem, choć o wiele trudniej, utrzymywała siebie i dwóch chłopaczków, dumna z tego, że potrafiła zachować dla dzieci cześć swoją nienaruszoną, nazwisko ich ojca nosząc godnie i bez zmazy.

Proboszcz słuchał cokolwiek zdziwiony, ale z widocznem zadowoleniem.

— Ha! Więc idźmy! — zawołał wreszcie z miną dziarską, na pozór rekruta, który po raz pierwszy widzi w około siebie ogień rotowy, i słyszy głuchy huk armat.

Szli pieszo przez labirynt nierozplątany ulic i uliczek, przepychając się przez tłum ruchliwy, krzykliwy, który proboszcza, przyzwyczajonego do ciszy wiejskiej, ogłuszał i odurzał, niemal o gorączkę przyprawiając. Stanęli wreszcie przed kamienicą, nie o wiele pokaźniejszą z frontu, od tej, którą przed chwilą opuścili. Wewnątrz było ciszej i przyzwoiciej, co błogim spokojem napełniło serce księdza wielce strwożone. A jednak, wstępując po wschodach, równie jak tamte niewygodnych i ciemnych, na nowo pierś mu się ścisnęła, i czuł, że odwaga go opuszcza... Inne skrupuły i niepewności, umysł jego opanowywały. Może wyda się śmiesznym tej eleganckiej Paryżance, on prostak, na wsi wychowany, nie znający zupełnie manier i zwyczajów salonowych?

— *Vanitas vanitatum!* — mruknął gniewnie, a jednak spojrzał miłosiernie, z czołem zarumienionem, na swoje grube buty podkute, na sutannę nie pierwszej już młodości, skrojoną niezgrabnie przez krawca domorosłego... Pan Martin u drzwi zadzwonił. Razem z dzwonkiem odezwały się świeże, wesołe, a głośne śmiechy i gwar dziecięcy... Wykręcił się na pięcie: „Lewą nogą... w tył!“ Dłoń silna przytrzymała go atoli za ramię, naprzód popchnęła... i *Rubikon* został przekroczony!

Luba prostota i naturalność w przywitaniu pani Cavalier, ponęta kilku słówek pochlebnych, któremi autora *Judyty* na wstępie zaraz ze sprytem kobiecym obdarowała, pomogły księdzu odzyskać równowagę i otuchę w serce wlały. Cóż bo w tych odwidzinach było istotnie tak strasznego? Czegoż lękał się właściwie? Fortepian stał otworem, na pulpicie uśmiechały się do niego niebieskie zeszyty. Adolf usiadł i zaintonował przygrywkę do pierwszej wielkiej arji *Judyty*. Alicja Cavalier spiewała głosem pełnym, umiała wcielić się w myśl autora, natura jej żywa i namiętna, wlewała ciepło w każdą nutę. Spiew jej unosił, czarował, upa-

jał! Ksiądz Jan, wzruszony do głębi, oddech w sobie wstrzymywał z wielkiego podziwu. Z pod okna, gdzie zrazu stanął, pociągnięty do fortepianu niezrównanym urokiem tych tonów anielskich, zbliżał się coraz więcej, aż wreszcie stanął tuż obok Alicji.

Skończyła była właśnie hymn błagalny do Jehowy, który *Judyta* rzuca w niebiosy, pod namiotem *Holofernesa*, wzywając boskiej pomocy, aby sił jej nie zbrakło w chwili stanowczej, i przeszła do pierwszych frazesów duetu. Na nieszczęście bez *Holofernesa* nie można było iść dalej, a pan Martin nie miał o śpiewie najmniejszego wyobrażenia.

— Księże proboszczu! — Alicja skłoniła ku niemu główkę z czarownym uśmiechem. — Raczcież mi trochę dopomódz!

Nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, proboszcz zanucił półgłosem odpowiedź *Holofernesa*.

— Ależ doskonale!... Macie proboszczu baryton prześliczny! — w rączki malutkie klasnęła. — Na miły Bóg! idźmy dalej!

Bronił się jak mógł, ona jednak nastawała z minką tak pokorną, tak pieszczotliwą, że oprzeć się jej i święty by nie potrafił!

— Nie chcecie proboszczu zrobić mi tej przyjemności?... Mam-że was błagać o to na kolanach?

Był posłuszny. Przeszli jednym tchem z dziesięć stronnic, nawzajem bodźca sobie dodając. Śpiewali całą duszą, wyszukując gorliwie prawdziwej ekspresji, wlewając w każdy frazes właściwy koloryt... Pochylił się ku niej, i w zapale artystycznym, to dłoń jej miękką i ciepłą ściskał, znacząc *tempo*, to palce ich spotykały się na klawiszach, wskazując akompaniatorowi, gdzie się teraz znajdują.

Nagle owiała go woń cudowna jej warkoczy pysznych, bogatych, niby fala złota roztopionego i musnął go po czole jej oddech gorący... Krew całą strugą do głowy mu uderzyła, cofnął się rzutem gwałtownym i urwał w pół tonu.

— Co się stało? — spytała Alicja ciekawie, w ducha zupełnej niewinności.

Nie odpowiedział zrazu. Twarz i czoło nawet, płonęły mu szkarłatem.

— Kończmyż! — zawołała.

— Nie jestem w stanie!... — szepnął głucho.

— Czy tylko zmęczenie, czy może jaka niedyspozycja?

— Zmęczenie... nic więcej...

Podwójne zakłopotanie, język biednemu księdzu plątało. Wstyd mu było nagłego wzruszenia, którego w żaden sposób nie mógł opanować, i mięszał się coraz więcej śmiesznością tej drażliwej sytuacji... Jakiż obłęd nieszczęsny zawładnął jego umysłem? Ona przecież nie jest *Judytą*, a on nie myśli zostać *Holofernesem*! Wszystkie zatem uniesienia namiętne ich duetu, to zmyślenie, wyskok bujnej fantazji autora.... Jakże mógł poddać się tak dziecinnie ułudzie niebezpiecznej i tak się nią przerazić?!

I ona umilkła, oddalając się od fortepianu. Musiała zapewne zrozumieć, delikatnym instynktem kobiecym, co się działo w sercu księdza. Adolf Martin mniej domyślny, nie mógł się dość nadziwić tej przerwie i naglił, żeby szli do końca. Ruchem nerwowym Alicja milczeć mu kazała.

Ksiądz Jan z nadludzkim woli wysiłkiem, potrafił wreszcie nad sobą zapanować i powoli odzyskiwał równowagę. Czując potrzebę jakiejkolwiek dywersji, rozpoczął pierwszy gawędkę obojętną, pospolitą, wkrótce jednak przestał w niej brać udział. P. Martin z Alicją byli uszczęśliwieni powodzeniem niezawodnem *Judyty*, sam autor atoli był dziwnie ponury, milczący i roztargniony. Postać tej kobiety, do której ośmielił się po raz pierwszy w życiu, przemawiać słowami miłości namiętnej, budziła w nim dziwne myśli i wzroku od niej nie mógł oderwać. Byłaż istotnie tak piękną? Niestety, nie był on wcale znawcą i sędzią kompetentnym w tym kierunku... Może patrzył jeszcze na nią oczami *Holofernesa?...* Może też wyszukana elegancja Paryżanki, pewien *nimbus* otaczający artystki, tak mu w głowie i w sercu zamroczyły!... Wpatrywał się w nią z trwogą tajemną, ale i z uczuciem roskoszy, dotąd mu nieznanej.

Wieczór nadchodził, a z nim godzina odjazdu. Pożegnał się w chwili, kiedy najmniej się tego spodziewali, tak raptownie, iż wyjście niemal na ucieczkę zakrawało. Adolfa prosił usilnie, aby go nie odprowadzał. Gdy znalazł się przed domem na trotoarze, zatrzymał się chwilę, utonął oczami w tłumie otaczającym go ze wszech stron i westchnął z głębi piersi... Czy lżej mu się na sercu zrobiło, czy też żalem się ścisnęło?... Któż kiedy zbadał dokładnie owe tajniki!... I krokiem szybkim puścił się ku dworcowi kolei.

IV.

Niepokój z Paryża przywieziony, długo, długo, miotał sercem księdza Jana. Dziwne nerwów rozdrażnienie, prześladowało go wśród głuchej ciszy zakrystji, nie opuszczało nawet na stopniach ołtarza. Często walczył z występnem roztargnieniem, z rodzajem halucynacji gorączkowej, w której, zamiast śpiewów kościelnych, ucho jego łapało chciwie dźwięki głosu czarownego Judyty-Alicji, a oko pośród liter sztywnych księgi z ewangelją, spostrzegało lekkie kontury jej nadobnej postaci, ścigało w przestrzeni rysy klasyczne, czoło wyniosłe i pełne inteligencji, wzrok promienisty, uśmiech łagodny, całą jednem słowem twarzyczkę tak piękną pani Cavalier. Życie jego dotąd czystem było. Od burz gwałtownych i brudnych namiętności, strzegła go samotność, poczucie obowiązku i zapał szlachetny dla muzyki. Poświęciwszy się tej boskiej sztuce, nie zaznał innych pokus. Nie był on jednak ascetą, a jeżeli rwąc się z częsta do świata i jego przyjemności, nie miotały nim chucie czysto zmysłowe, czuł nie mniej grożące mu obecnie niebezpieczeństwo, i odtrącał słodkie marzenia, które jednocześnie trwogą śmiertelną, ale i

roskoszą niewysłowioną, duszę jego przejmowały.

Osobiście nie groziło mu co prawda żadne niebezpieczeństwo, boć nie on sam miał spiewać partję Holofernesa. Przypadnie ona artyście z profesji, ostrzelanemu zapewne z podobnemi wzruszeniami, któremu wolno zresztą było poddać się bezwarunkowo ich urokowi upajającemu. Doświadczenie atoli, zrobione na własnem „Ja", wzbudziło w sercu jego niemiłe skrupuły i wątpliwości, co do charakteru i doniosłości dzieła samego. Nie będzież ono powodem publicznego skandalu? Przypominał sobie krytyki i uwagi wstydliwej wielce panny Franciszki, którą te miejsca także zgorszyły. Odczytując teraz cały poemat, odkrywał w nim mnóstwo rzeczy, o których mu się przedtem ani śniło. Jakże to być mogło, żeby naraz czyste złoto zmieniło się w ołów rozpalony? Cóż to za sztuczka djabelska wlała nawet w owe pieśni, które mu się dawniej tak świętemi wydawały, żar piekielnej namiętności?

Panna Franciszka oka z bratanka nie spuszczała. Nie śmiał zerwać z ciotką zupełnie; schodzili się więc jak dawniej, i wieczory przy ulubionym jej *beziku* trawili, nie zdradził jednak przed nią ani jednem słowem, iż przygotowuje się tak wielkie w życiu jego wydarzenie. Brak wykształcenia i rozumu książkowego, zastępował u niej spryt wrodzony i pewna przebiegłość kobieca odgadywała instynktowo, że coś przed nią ksiądz ukrywa, a bujna wyobraźnia tworzyła obrazy najstraszniejsze, rozkiełzania i upadku bratanka, którego bądź jak bądź szczerze kochała. Miała go wprawdzie dotąd za człowieka uczciwego, niezdolnego do złamania i podeptania przysięgi kapłańskiej, djabeł nie spi atoli! a jest tak chytrym i podstępnym w dusz łowieniu! Na co on myśli użyć tego majątku, o którym wcale już nie wspomina? Miała ważne powody posądzać go o złe zamiary, skoro milczy tak uporczywie, i to ją trwożyło niesłychanie.

Przejęta ważnością misji, którą Opatrzność w jej ręce niejako złożyła, skoro ochłonęła z pierwszego gniewu i odzyskała krew zimną, po owem niefortunnem przyjęciu przez księdza Jana cudownego projektu, wybudowania wspaniałej świątyni w ich parafji, na miejscu starego, walącego się niemal kościółka, postanowiła odtąd działać ostrożnie, i uzyskać podstępem, czego, idąc wstępnym bojem, dokazać nie mogła. Ten zamiar pobożny musiał się urzeczywistnić! Wtedy bowiem pewną była, że dusza jej panieńska prosto pójdzie do nieba! I ona utrzymywała sekretną korespondencję z pewnym budowniczym, używanym w całej dyecezji i kazała sobie raz po raz przysyłać rozmaite plany i rysunki. Odebrawszy takowe, rozkładała je na stole z chytrym uśmiechem, jakby nic o niczem nie wiedziała. Ksiądz Jan patrzył, dotykał się nawet niekiedy tych papierów, ale z takiem roztargnieniem, z taką zabijającą obojętnością, iż biedna stara panna ręce z rozpaczy łamała. Nieszczęśliwy budowniczy padał ofiarą tych nieporozumień. Co tydzień mordowała go nowemi listami, w których żądała zmian i upiększeń. Budowniczy poddawał się tym tyrańskim wymaganiom z rezygnacją, dodając tu jakiś ząbek, tam jakąś wieżyczkę, a wszystko bez skutku pożądanego...

Zdarzyło się dnia pewnego, iż panna Franciszka wchodząc do saloniku, zobaczyła księdza spartego o stół, z oczami wlepionemi w plan ostatni, który nadszedł właśnie i leżał ostentacyjnie rozwinięty na kanapie. A było to istne cacko! cudo piękności! coś, czemu i umysł najzimniejszy oprzeć się by nie mógł! wysiłek fantazji, po za którym — gdyby i on nie zmiękczył serca kamiennego księdza Jana — zostawało starej pannie li zwątpienie bez promyka nadziei! O mało nie krzyknęła z radości.

— Wiedziałam, że to go przecie wzruszy! — pomyślała tryumfująca, szczęśliwa!

Zatrzymała się na progu, nie śmiejąc krokiem naprzód postąpić. On nieruchomy milczał, dumając głęboko. Nagle twarz mu się rozjaśniła.

— Tak! tak! — mruknął zadowolony. — Tym razem będzie doskonale!

Zwycięstwo! Ciotka skoczyła ku niemu.

— Nieprawdaż?! — zawołała. — Ach! jakże mnie słowa twoje uszczęśliwiają!

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Ciebie ciotko?... Alboż ty wiesz o czem ja myślę?... Zdaje mi się, iż ci się z niczem nie zwierzyłem... Mniejsza zresztą o to!... Słuchaj i powiedz sama, czy nie strzeliła mi do głowy myśl cudowna, zbawienna!... Wyrzucam zupełnie Holofernesa... Niepotrzebne zatem duety pod namiotem... Żołdaki prowadzą Judytę niepokazującemu się wcale wodzowi... Hulanka trwa dalej, a gdy tłuszcza rozpasana i zmorzona trunkami gorącemi usypia wreszcie, Judyta pokazuję się z krwawą zdobyczą w dłoni... Wtedy krótkiemi słowami, uniesiona nadziemskim zapałem, z całą przyzwoitością opowiada o czynie bohaterskim, dokonanym z pomocą i za łaską Jehowy... Poświęcam wprawdzie miejsce nadzwyczaj efektowne, ale moralność za to jest uratowaną!... Rozwiązana przeto kwestja drażliwa... Rzucać na ich spotkanie białą zasłonę, byłoby czystem szaleństwem!... Nadto znana historja! i nie można zresztą przypuścić, aby Holofernes był na tyle głupi, i dał się ubezwładnić pięknej wdówce z Betulji, tylko kazaniem pobożnem i budującem!... Ha! ha! ha! tożby dopiero był godnym pożałowania ten poczciwina, gdyby tak za darmo dał sobie głowę uciąć Judycie!

Plótł dalej wesoło, zapominając się prawie aż do nieprzyzwoitości i lekceważenia czystych uszów panieńskich. Na szczęście ciotka wpadłszy w furję, wcale go nie słyszała. Zmięła bez miłosierdzia w drżących dłoniach rysunek świątyni niezrównanej, i drzwiami trzasnąwszy z całej siły, uciekła z planem do swojego pokoju. Wszystko to uszło uwadze księdza Jana, który już był zajęty nowym projektem, i stawiał nut szeregi na papierze, niby szef sztabu, plan bitwy na prędce zmieniający. Dąsy ciotki nie robiły już od dawna na nim wrażenia najmniejszego; niezgoda opanowała zwy-

ciępsko dom niegdyś tak cichy, umysły tak spokojne.

Ku wieczorowi, panna Franciszka w zupełnej samotności, którą sobie sama na cały dzień zaordynowała, zaczęła mięknąć cokolwiek, i czuła, że ją gniew srogi opuszcza. Zastanowiwszy się nad wszystkiem, z innego teraz stanowiska zapatrywała się za kwestję sporną. Wprawdzie ksiądz szalał dalej na swoją Judyt ukochaną, nie mniej jednak był gotów do wszelkich ustępstw, aby moralność na tem nie szwankowała. A któż w jego sumieniu wzbudził skrupuły? Ciotka swojemi budującemi i zbawiennemi uwagami! Jeżeli zatem przegrywała z jednej strony, tryumfowała z drugiej. Wszystko dobrze rozważywszy, mogła więc złożyć broń. Weszła do saloniku. Proboszcz był wyszedł, zostawiwszy na fortepianie pomiędzy luźnemi kartkami papieru do nut i list odpieczętowany, który widocznie świeżo z poczty przyniesiono. Usiadła na kanapce, sztywnie wyprostowana, puszczając w ruch druty, niby skrzydła wiatraka.

Zapewne siedzi znowu u Margotty; wszak ona mu radzi we wszystkiem, ona posiada całe jego zaufanie! W tej chwili zwierza jej może owe tajemnice, o których milczy zawzięcie przed ciotką rodzoną!... Podskoczyła w górę, jakby podminowana. Jakiś głos tajemniczy kusił ją, szepcząc do ucha słowa zdradzieckie:

— Przeczytaj list... przyszedł z Paryża... dowiesz się o wszystkiem, z czem tai się przed tobą....

Wypuściła czemprędzej druty z ręki prawej, aby znakiem krzyża świętego odpędzić od siebie pokusę szatańską. Istotnie głos ustał, ale po chwili spiewał jej dalej do ucha zaczętą piosenkę:

— Czytaj-że!... nikt nie zobaczy... To o czem się dowiesz, dawno już Margocie opowiedział. Jeżeli przeczytasz, to tylko w jego własnym interesie. Wiedząc o co idzie, będziesz mogła dobrej rady mu udzielić...

Był to głos owego węża kusiciela, któremu od czasu matki Ewy, żadna kobieta nigdy się oprzeć nie zdołała. Walczyła, walczyła, uległa wreszcie, list ręką drżącą pochwyciła i chciwie czytać zaczęła.

Pan Martin w liście donosił, iż sala była już wynajęta, orkiestra i chóry codzień próby odbywają, Holofernes uczy się również partji swojej, że reklamę zręcznie zredagowaną, powtórzyły obecnie mnogie dzienniki. Aby się atoli nie narazić na prawne dochodzenia i napaści, czy owa Judyta nie jest przypadkiem *plagiatem* tych Judyt rozmaitych, które ją poprzedziły i znane są w Paryżu, uznał za stosowne zmienić tytuł, i zapowiedzieć zamiast Judyty, Holofernesa. Nie może być zatem mowy o wyrzuceniu z Oratorjum partji Holofernesa, trzeba przeciwnie — a jest to kwestja życia lub śmierci, *vulgo* sukcesu lub upadku — żeby dodać jeszcze Holofernesowi oprócz duetów z Judytą, ze dwie, a przynajmniej jedną arję *di bravura*, skoro on, jako główna osoba, na afiszu będzie figurował...

Nagle zadrżała, usłyszawszy za plecami słowa, tonem ostrym wymówione:

— Dlaczego ciotko czytasz moje listy?

Był to proboszcz, którego kroków nie zauważyła, cała w czytaniu zatopiona. Niespodzianka była wielce nieprzyjemna, i upokorzenie dla starej panny niesłychane, że ją tak na gorącym uczynku wyłapano!

Był na tyle względnym, iż słowa więcej nie dorzucił. W milczeniu zbierał kartki luźne z nutami i resztę swoich papierów; sytuacja stawała się coraz drażliwszą. Chciała pokryć zmięszanie i zrobić niejaką dywersję, napomykając z ogródka o jego pracy. Spytała zatem od niechcenia, czy już porobił zmiany tak potrzebne i pożądane w Judycie? Przerwał jej szorstko, widocznie rozgniewany:

— Proszę raz na zawsze uwolnić mnie od wszelkich uwag, tyczących się tego przedmiotu!

Dodał po chwili trochę spokojniej, ale jeszcze z czołem groźnie zmarszczonem:

— Był to pomysł najniedorzeczniejszy!... Wartoby mi głowę ogolić, gdybym popełnił takie szaleństwo!

Tłumaczenie nic wcale nie tłumaczyło. Czyż zresztą nie widziała jasno jak na dłoni?! List ją o wszystkiem przecie uwiadomił. Poddawał się bezwarunkowo decyzji swoich doradców i przyjaciół w Paryżu. Aby zapewnić poklask i powodzenie dziełu swojemu, decydował się przedstawić je tak jak jest publiczności; wchodził w niecne układy z własnem sumieniem, wyzywał skandal, który jemu samemu, nie tak dawno jeszcze, rumieńcem wstydu czoło pokrywał! Nie! słabość podobną należało skarcić surowo. Podniosła dumnie głowę, z giestem patetycznym wyciągnęła ku niemu ramiona, i usta otwierała... gdy ksiądz, odwróciwszy się nagle od fortepianu, spojrzał jej groźnie w oczy.

— Mówiłem już, żebyś raczyła sobie ciotko oszczędzić wszelkich nauk i napomnień. Wiem naprzód co mi chcesz powiedzieć... Niedyskrecja popełniona i zgwałcenie tajemnicy listowej, powiadomiły ciotkę o wszystkiem... niema więc co więcej mówić o tej sprawie!...

Nigdy jeszcze do niej nie przemawiał tonem tak ostrym i decydującym: była zupełnie rozbrojona! O nieszczęsna ciekawości! Przez nią musiała niejako zdać się na jego łaskę, straciła prawo gderania. Dusząc się złością bezsilną, napowrót do swojego pokoju zawróciła. Od progu jednak cisnęła mu w oczy groźbę, niby Pytja starożytna z trójnoga:

— Dobrze! dobrze! Gub swoją duszę, skoro tak ci się podoba! Ja pewno odtąd będę jak grób milczała, i nie wmięszam się do tego, co do mnie nie należy!

Tym razem poróżnili się na serjo. Przez dni kilka panna Franciszka snuła się po domu, jak duch Banka, ponura i milcząca, aż wreszcie rozmaite kłopoty domowe, zmusiły ją przemówić do proboszcza. Ten zresztą był teraz mniej nieprzystępnym i rozdrażnionym. Decyzja nieodwołalna, którą powziąć musiał, kładąc kres wszelkim wahaniom, na całe usposobienie księdza Jana oddziałała uspokajająco. Z błogiem uczuciem oddawał się cały marzeniom o chwili roskosznej, która spełni wkrótce najtajniejsze serca jego życzenia i pragnienia.

Błagał go pan Martin z dziesięć razy najusilniej, aby przybył do Paryża, gdzie niejedną kwestję sporną

powinienby sam rozstrzygnąć; odmawiał jednak stanowczo. Lękał się Paryża. Trzeba było zmienić nie jedno w partyturze, spróbować innych efektów w instrumentacji, zaspokoić nowe wydatki. Odpisał, że we wszystkiem, co się tyczy muzyki samej, spuszcza się na światły sąd i smak wytworny pani Cavalier. Jak ona zadecyduje, tak będzie. Co do kwestji finansowej, tę oddał z całem zaufaniem w ręce szanownego kapelmistrza, i przyjmuje zatem z góry wszelkie wydatki, które pan Martin uzna za potrzebne.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

XXIV.

— Jakto? — zawołał tego wieczora zdziwiony markiz B. powróciwszy z polowania. — Corinna chce odjeżdżać?

— Dziś wieczór nawet kochany markizie.

Odpowiedź tę dał margrabiemu p. de Villenave, który się właśnie znajdował w salonie zamku Rochepinte.

— Nie widziałem kobiety bardziej ekscentrycznej! — mówił markiz dalej.

— Ani ja także — odpowiedział Villenave.

— Ale o którejż godzinie chce ona jechać?

— O jedenastej lub dwunastej w nocy.

— Szczególna myśl.

— Mówi, że pociąg z Auxerre odchodzi o trzeciej czy czwartej rano, i łączy się gdzieś tam z pociągiem pospiesznym jadącym do Paryża.

— To prawda — odrzekł markiz — ale mogłaby jechać innym pociągiem, bardziej dogodnym jak ten.

— Tym, który odchodzi o trzy kwadranse na trzecią popołudniu?

— Tak, przyjeżdża się do Paryża na objad.

— Bezwątpienia, ale wszyscy jadą tym pociągiem, a Corinna miała by się za coś gorszego, gdyby robiła to co wszyscy robią.

— Et! — rzekł markiz — ubiorę się i idę na obiad, a obaczysz że zostanie.

Pan de Villenave potrząsł głową.

— Znasz ją tak dobrze jak ja — odrzekł.

— To możliwe — rzekł markiz śmiejąc się.

— A zatem wiesz jak jest upartą.

— Powiem jej, że drogi nie są pewne.

— Cóż z tego?

— Że można zdybać się z złodziejami.

— Ona utrzymuje, że ich już teraz niema.

— Zresztą obaczymy.

W kwadrans później, Corinna w ubraniu podróżnem, wchodziła do sali jadalnej, gdzie było nakryto do stołu.

— Moja droga — mówił markiz — trzeba być tak ekscentryczną jak ty, aby chcieć wyjeżdżać właśnie o północy.

— Mój kochany — odpowiedziała Corinna — jesteś moim przyjacielem i winnam ci powiedzieć prawdę.

— Cóż takiego?

— Villenave stał mi się nieznośnym od dziś rano. Gdybym go widziała jeden dzień dłużej, dostałabym ataku nerwowego.

— Czy mam się zamknąć w moim pokoju? — zapytał tenże śmiejąc się.

— Nie potrzebujesz, dajcie mi tylko odjechać, oto wszystko.

— Ależ moja kochana, nie boisz się złodziei?

— Nie.

— Masz przecie brylanty?

— Z których niektóre są od ciebie — odrzekła Corinna.

— Najlepiej zostaw je tutaj.

— O! nie, nie.

— Nie masz zaufania do mnie?

I markiz spojrzał na Corinnę śmiejąc się.

— Powierzyłabym ci cały mój majątek — odrzekał — ale moje brylanty nie opuszczają mnie nigdy.

— Pojadę do Paryża za trzy dni, i przywiozę ci je.

— A tymczasem Villenave je skradnie...

Pan de Villenave nie rozgniewał się za to wcale.

— Doskonałą jest sobie zawsze ta Corinna — odrzekł.

— A więc odjeżdżasz?

— Naturalnie.

— Czy chcesz, abym ci towarzyszył aż do Auxerre?

— Dziękuję ci. Masz jutro rano zamówione polowanie, więc nie chcę, abyś je tracił przezemnie.

— Ale ja — rzekł Villenave — nie jadę na polowanie.

— Tak? — szepnęła Corinna obojętnie.

— I mogę ci towarzyszyć.

Corinna zadrżała

— Nie chcę — odrzekła krótko. Przypomniała sobie weksel i pomyślała:

— Villenave jest zdolnym do wszystkiego. Zamordowałby mię na drodze, aby mieć ten papier.

— A więc gdyś tak uparta — zawołał markiz — niech będzie jak sobie życzysz.

I rzekł do lokaja, który usługiwał przy stole:

— Powiedz Johnowi, aby miał powóz gotowy punkt na wpół do dwunastej. Franciszek i ty pojedziecie z panią.

Potem rzekł jeszcze spojrzawszy na Corinnę:

— Widzisz, że załatwiam wszystko dobrze. Odeszlę cię tym moim sławnym powozem.

— Jesteś szlachcicem prawdziwym — odpowiedziała piękna grzesznica.

Podczas gdy panowie jedli obiad, służba rozmawiała w kuchni.

— Zdaje się, że odjeżdża ta Paryżanka — mówiła Marjanna kucharka.

Marjanna była tô stara służąca, trochę dewotka, która spędziła całe swe życie w zamku Rochepinte, a służyła jeszcze za nieboszczyka ojca markiza i gorszyła się strasznie pobytem Corinny w zamku.

— Boże zlituj się! — mawiała — czy to nie straszna

rzecz widzieć kobiety podobnego prowadzenia, włóczące swe suknie po pokojach pani margrabiny, mojej nieboszczki świętej pani!... Biedna kochana pani! Gdyby tak przyszła i obaczyła syna swego Gastona. co też on nie wyrabia!...

— O! yes, yes — mruczał John furman, paląc fajkę przy ogniu. — Pani ekscentryczna, lecz ma dużo pieniędzy, i da dobry trynkgield.

Jerzy, lokaj markiza, uśmiechnął się drwiąco. Jerzy służył jeszcze u markiza, gdy ten się kochał w Corinnie i znał ją od dawna.

— Johnie, mój poczciwcze — odezwał się — mylisz się bardzo.

— He? co mówisz?

— Dama ta bogata, ale wcale nie hojna — mówił dalej Jerzy. — Ma dosyć pieniędzy, ale nie lubi dawać!

Franciszek, drugi lokaj, odezwał się także:

— Przecież jest nas tu dwudziestu, a od miesiąca obsługujemy ją, jak gdyby była panią domu.

— Założę się, że nie zostawi dziesięciu luidorów dla nas wszystkich — odrzekł Jerzy.

— Et! mówisz.

— Ach! shoking! — mruknął furman.

— Obaczycie — rzekł Jerzy i zaczął opowiadać rozmaite historje o skąpstwie Corinny.

Wszyscy zajadali smacznie wieczerzę, potem John poszedł przygotować konie. W czasie jego nieobecności, Corinna, która nie była dumną, zeszła do kuchni. Służba powstała z uszanowaniem.

— Moi dobrzy przyjaciele — rzekła Corinna — macie tu dla was. Jerzy masz, podziel ich — i złożyła pięć luidorów w rękę lokaja.

Gdy odeszła, Jerzy rzucił na stół pieniądze.

— A co? nie mówiłem wam? — zawołał. — Jest nas dwudziestu, to po sto sou wypada na każdego.

— Ależ to bezczelność! — wykrzyknął Franciszek.

— Co za skąpica! — mruknęła Marjanna kucharka.

Reszta to samo powtórzyła chórem. John wszedł. Przyjęto go wybuchem śmiechu.

— Masz sto sou dla ciebie — zawołał Jerzy.

— A! — szepnął anglik z gniewem. Potem ścisnął pięści i mruknął:

— O zły trynkgield! Powiozę ja cię... o wstrząsnę ci kości!

Śmiano się z niego co raz lepiej, a John mruczał dalej:

— Przy wąwozie z góry puszczę konie co sił stanie.

— No uważaj tylko zawsze, aby nie przeskoczyć barjery — odrzekł Franciszek. — Nie chodzi mi o tę babę ani o ciebie, ale ponieważ jadę z wami, chodzi mi o moją skórę. I tobie Jerzy także, nieprawdaż?

— Naturalnie — rzekł Jerzy.

Potem nachyliwszy się do ucha Franciszka, szepnął:

— Nie pojadę ja tak daleko z wami. Nie potrzeba jej dwóch służących. Mam interes w Coulanges... Jak przejedziemy most, pożegnam się z wami.

John, który pił po angielsku, wychylił jeszcze dwie butelki burgundzkiego, kończąc wieczerzę. A że już była jedenasta, wyszedł aby się ubrać i być zupełnie gotowym do odjazdu.

Przez ten czas Jerzy i Franciszek pod dozorem samego markiza pakowali kufry i kuferki do powozu, a Corinna doglądała wszystko.

— No, kiedyż się zobaczymy? — rzekł markiz do młodej kobiety w chwili, gdy wsiadała do powozu.

— Przyjeżdżasz podobno do Paryża za trzy dni?

— Tak.

— Przyjdź i zaproś mię na objad.

— Będziesz w domu?

— Naturalnie, nie wyjeżdżam nigdzie tego roku.

— Corinno — rzekł Leon Villenave żartobliwie — czy nie chcesz abym ci towarzyszył?

Nachyliła mu się do ucha i szepnęła:

— Nie, nie chcę, bo byłbyś w stanie mię zadusić, aby odebrać swój weksel.

Pan de Villenave drgnął, a potem odrzekł z uśmiechem:

— Zawsze żarty te same!

— Żegnam was — rzekła Corinna.

— John! — zawołał markiz — a uważaj tam przy zjeździe, koło wąwozu „Człowieka zmarłego"!

— Umiem ja powozić — mruknął Anglik urażony tą przestrogą. I zaciął konie, które spięły się i pobiegły wyciągniętym kłusem. Powóz wyjechał z podwórza na główną drogę, a olbrzymie latarnie rzucały światło w około.

— Jeżeli by jej się przypadkiem wydarzyło nieszczęście — szepnął do siebie pan de Villenave ścigając wzrokiem powóz, który oddalał się z nadzwyczajną szybkością — Corinna nie będzie mnie posądzać, spodziewam się!... Dzięki Bogu robiłem co mogłem, aby ją zatrzymać.

A po wązkich jego ustach przeleciał uśmiech drwiący i ponury.

. . . .

W godzinę potem, powóz markiza był w Coulanges i przejeżdżał most na l'Yonnie.

Jerzy, który jechał z tyłu, zsunął się z siedzenia i znikł na drodze w ciemności nocy.

Franciszek, który siedział obok furmana, szepnął mu do ucha:

— A nie masz ty przypadkiem pragnienia mój stary Johnie.

— Pewnie że mam — odpowiedział John.

— Pani ta płaci tak mało, że nie warto żenować się dla niej — mówił dalej Franciszek.

— Tak, ale wszystko teraz zamknięte.

— Nie koniecznie, szynkownia ojca Coquille musi być otwarta. To ostatni dom na lewo wyjeżdżając z Coulanges.

— Zkądże by znów otwarta była tak późno? — zapytał John.

— Bo jutro jarmark w Avallon, i przez całą noc przejeżdżają fury.

— A tak, to dobrze — mruknął John.

Jak wiemy Anglik wypił dwie butelki wina w Rochepinte, potem jeszcze kilka kieliszków wódki. Był więc trochę rozmarzony i dla tego miał jeszcze większe pragnienie.

Franciszek miał słuszność. Szynkownia ojca Coquille była otwarta. John zatrzymał konie i zawołał:

— Hej! Mikołaju!

Mikołaj był to chłopak z szynkowni ojca Coquille. Wyszedł spiesznie, a za nim kilku furmanów, którzy pili w szynkowni, zaciekawieni odgłosem dzwonków.

— Potrzymaj trochę konie — odezwał się Franci-

szek — jeżeli chcesz dać co zarobić twemu panu.

Corinna zdziwiona tem zatrzymaniem, wychyliła się z powozu.

— Co się stało? — zapytała.

— Proszę pani — odpowiedział Franciszek tonem zuchwałym — dużo kurzu jest na drodze.

— Cóż z tego?

— Wyschło nam w gardle.

— Czyż to powód do zatrzymania?

— Musimy coś łyknąć obaj z furmanem.

— Obawiam się, abym się nie spóźniła. Napijecie się w Auxerre.

Ale John wszedł już do szynkowni.

— To Anglik — zaśmiał się drwiąco Franciszek — gdy mu co wlezie w głowę, trudno mu wyperswadować.

— Nagonię ja was obu! — mruknęła Corinna z gniewem.

Ale Franciszek ruszył ramionami i poszedł za Johnem do szynkowni.

Obaj usiedli przy stole i podczas gdy Corinna niecierpliwiła się, John wychylił drugie dwie butelki, wskutek czego, gdy wsiadł na kozieł, był kompletnie pijany.

— Ah! — mruknął — panienka nie chce spóźnić się na pociąg... panienka lubi jeździć prędko... Otóż jedziemy! jedziemy! — i zaciął silnie konie biczem, a powóz poleciał z szybkością czterech mil na godzinę.

Franciszek śmiał się i mówił:

— Z pewnością napisze ona markizowi, że byliśmy zuchwali, ale to mi wszystko jedno... mam miejsce napięte.

W godzinę potem powóz wjechał na wzgórze, gdzie bracia Balthazar spostrzegli go nagle z dwoma olbrzymiemi latarniami.

— Wstrzymaj konie Johnie — zawołał Franciszek, który wiedział, jak pochyłość była raptowna.

— Nie bój się — wołał John. — Panienka lubi jeździć prędko! Panienka płaci dobrze.

— Zahamuj przynajmniej.

— Nie warto! konie pewne!...

I John trzaskał z bicza.

Powóz zjeżdżał z góry coraz szybciej. Nagle błysnęło coś przed końmi i wystrzał dał się słyszeć tak blisko nich, że konie spięły się przestraszone.

Potem nagle spłoszone puściły się takim pędem, że powóz potoczył się z szybkością szaloną.

— Zahamuj! zahamuj! — krzyczał Franciszek, którego przestrach opanował.

— Nie bój się! — odpowiedział furman zupełnie pijany.

Konie spłoszone szalały z przestrachu i zbliżały się właśnie do skrętu.

Franciszek zamknął oczy. Corinna wewnątrz powozu krzyczała przeraźliwie.

Anglik, któremu się konie wyrywały, starał się daremnie zatrzymać je teraz. Jednakże był on nadzwyczaj silny i bardzo zręczny.

W tem jeden z koni uderzył nogami w poręcz, który pękł natychmiast.

— Jesteśmy zgubieni! — zawołał Franciszek głosem stłumionym.

John uderzył batogiem konia, którego nogi przednie były już w przepaści i pociągnął go tak silnie, że tenże cofnął się nagle na drogę.

— Ocaleni! — szepnął Franciszek, któremu włosy się najeżyły.

I byliby nimi istotnie, gdyby nie sznur wyciągnięty przez Michała. Ale sznur ten uderzył konia z prawej strony w piersi, ten upadł na lewo i powóz, który był właśnie na skręcie, stoczył się nagle z drogi i wpadł w wąwóz.

Wtedy dwaj Balthazar, Jan i Szymon, usłyszeli krzyki przeraźliwe... potem głuchy łoskot powozu rozlatującego się w kawałki. Potem nic więcej...

W tejże chwili Michał wyszedł z krzaka i pobiegł pędem na drogę. Ale gdy zbliżał się do skrętu coś błysnęło, wystrzał rozległ się i Michał upadł na środku drogi, ugodzony w same piersi kulą bratobójcy Szymona!

XXV.

Gdy Michał upadł, bracia jego zbliżyli się do brzegu przepaści i spojrzeli w wąwóz.

Księżyc właśnie wschodził w tej chwili i połowa jego tarczy ukazała się ponad sąsiedniem wzgórzem.

To światło niespodziane wstrząsło dreszczem dwóch zbrodniarzy. Ujrzeli teraz dokładnie brata swego, leżącego na drodze i tarzającego się w kałuży krwi, a potem nachylili się nad brzeg przepaści.

Tu widok był przerażający.

Powóz upadając połamał się w kawałki. Furman i lokaj Franciszek, wyrzuceni daleko, leżeli nieruchomi. Ale bolesne krzyki kobiece rozlegały się z wąwozu.

Corinna, zasłonięta zdaje się walizą, nie zabiła się na miejscu.

Z czterech koni, dwa zabiło się odrazu, dwa inne rzucały się i wlokły z nogami połamanemi bezwątpienia, bo Szymon i Jan widzieli jak się podnosiły i upadały, potem podnosiły się jeszcze i upadały znowu.

Michał raz tylko krzyknął upadając. Chwilę widziano go jak się rzucał i wił, potem powoli rzucanie się konwulsyjne ustało i zdawało się, że skończył.

— Otóż pozbyliśmy się jednego wspólnika! — rzekł Jan.

Szymon nic nie odpowiedział.

Krzyk rozdzierający kobiety, rozlegający się w wąwozie, wstrząsał ich. Ale Jan, który był dzikszym, nie stracił zimnej krwi.

— Cóż to? — zawołał — nic nie robimy! Czy będziemy czekać wschodu słońca, aby jeszcze nas tu kto zastał?!

Szymon drżał cały i zatykał sobie uszy, aby nie słyszeć krzyku nieszczęśliwej Corinny.

— Ta kobieta nie umarła jeszcze — odezwał się nareszcie.

Jan wszedł pierwszy na wązką ścieżkę, która się wiła koło wzgórza i schodziła do wąwozu. Szymon poszedł za nim. Ale bratobójca szedł krokiem niepewnym, przeto Jan zeszedł o wiele prędzej.

Uderzył się najpierw o trup furmana Johna.

Nieszczęśliwy roztrzaskał sobie głowę o skałę, a Franciszek leżał o dziesięć kroków od niego. Lokaj musiał tak jak furman, zabić się odrazu. Dwa konie

które żyły jeszcze, próbowały ciągle podnieść się.

Konie rżą zwykle z radości lub gniewu, ale straszne są w boleści, i niekiedy, jak jeleń lub sarna, nawet płaczą.

Corinna krzyczała ciągle.

Jan widział, jak wiła się po ziemi, zakrwawiona, pokaleczona, niepodobna do ciała ludzkiego.

— Do mnie! na pomoc! — wołała.

A gdy spostrzegła tych dwóch ludzi, schodzących w wąwóz, myślała, że to wieśniacy, z okolicy przybywający jej z pomocą. Jan przybył pierwszy do niej.

— Na pomoc! mój Boże! umieram... ulitujcie się nademną... — wołała Corinna głosem rozpaczliwym.

Jan zatrzymał się. Szymon zbliżył się do niego. Corinna tak krzyczała, że musiano ją słyszyć o jakie pół mili.

— Trzeba ją dobić — mruknął Jan.

— Nie — rzekł Szymon. — Ja nie mam odwagi... Szukajmy brylantów i uciekajmy!

— Ale, jeżeli ją usłyszą i kto nadejdzie...

— Szukajmy, mówię ci!

Kuferki i walizki porozrzucane były koło powozu roztrzaskanego. Obaj bandyci oglądali się wokoło, nie troszcząc się o tę kobietę, która wyciągała do nich ręce błagające.

Ale jakim sposobem dowiedzieć się, gdzie się znajdują brylanty? Michał tylko wiedział, a Michał leżał na górze, nieżywy. Mogli obydwaj szukać ze dwie godzin bez najmniejszego rezultatu. Jan przyskoczył do Corinny.

— Chcesz, aby cię ratować? — zapytał.

— Na miłość Boską, ratujcie mię! — wołała. — Mam nogę złamaną... głowę pokaleczoną... Nie dajcie mi umierać tutaj...

— Gdzie są twoje brylanty? — i bandyta patrzył teraz na nią z wyrazem dzikim.

Słowa te były odkryciem wszystkiego dla Corinny. Upadek powozu nie był więc wynikiem przypadku, ale zbrodni. Tych to brylantów chciano!

— Nie wiem... — mówiła. — Na miłość Boską, zabierzcie mię ztąd...

— Ty nie wiesz?

— Zabierzcie mię... a powiem wam.

— Mów, albo cię natychmiast zabiję!... — I Jan pokazał jej strzelbę.

Corinna obaczyła się bezpowrotnie zgubioną.

— Łaski! — wołała.

— Gdzie są brylanty? — powtórzył Jan głosem dzikim.

— Jeżeli wam powiem — odrzekła głosem stłumionym — ulitujecie się nademną?

— Tak.

— Zabierzecie mię ztąd?

— Zabierzemy...

— Nie będę się żalić... nie powiem, żeście mię okradli... Ale ocalcie mię!... przenieście mię do Coulanges... — I wijąc się ciągle, łamała obie ręce, a ból, który czuła, był tak straszny, że krzyczała ciągle przeraźliwie.

— Ależ cicho bądź, milcz! — wołał Jan, grożąc jej znowu.

Corinna tak się bała w tej chwili śmierci, że stłumiła swój krzyk. Szymon Balthazar, milczący i dziki, chodził pomiędzy walizami rozrzuconemi.

— Będziesz ty mówić? — rzekł znowu Jan głosem rozkazującym. I podniósł po raz trzeci kolbę do góry.

— W małym woreczku podróżnym, który miałam na ręce — szepnęła nareszcie Corinna.

— Słyszysz Szymonie? — zawołał Jan.

Szymon chwycił już woreczek.

— Mam go! — zawołał.

— A więc uciekajmy! — rzekł Jan.

I uderzył kolbą w głowę Corinnę, która upadła bezwładna na ziemię i nie krzyknęła więcej...

— Uciekajmy! — zawołał Szymon.

I uciekli pędem z pola rzezi, sądząc, że zabili ostatnią ofiarę. Wyszli ścieżką na drogę,

Księżyc świecił teraz w całej pełni, oświecając tę scenę grozy. Na drodze, o dwadzieścia kroków, widać było leżące ciało Michała. Na dole, w wąwozie, biedne konie rzucały się ciągle konwulsyjnie. Ale Corinna nie ruszała się więcej.

— Jednakże muszę popatrzyć, czy nas nie oszukano — rzekł Szymon.

I usiadł na poręczu obok miejsca, w którem powóz w przepaść się stoczył. Potem, ponieważ woreczek był zamknięty, otworzył go nożem. W woreczku w istocie była szkatułka, o której mówił Michał.

Jan wziął kamyk i złamał zamek. Nagle szkatułka otworzyła się, a brylanty błysnęły przy blasku księżyca.

— Tak, tutaj są — rzekł Szymon. — Uciekajmy!.. -- I zostawił woreczek, a szkatułkę włożył do torby.

Potem obaj powstali i pobiegli drogą ku lasowi. Ale gdy zbliżali się do rowu, Jan zatrzymał się nagle i drgnął.

— Co ci takiego? — rzekł Szymon.

— Patrz! — odrzekł Jan z przestrachem, i wskazał ręką na górę przy drodze.

Na szczycie wzgórza, tam, gdzie przed godziną ukazały się były nagle dwie czerwone latarnie markiza, widać było teraz postać jakąś czarną, która z początku nieruchoma, poruszyła się nagle i schodziła powoli na drogę.

— Świadek! — szepnął Jan drżąc.

— Powód jeden więcej, aby uciekać jak najprędzej! — odrzekł Szymon.

— Mimo to musimy jednak przedtem oderwać sznur — i odjął go spiesznie z poręcza.

Człowiek, który ukazał się na wzgórzu, był jeszcze zanadto daleko, ażeby mógł co widzieć dokładnie. Obaj bracia przeskoczyli rów i znikli w lesie, ciągnąc sznur za sobą i unosząc brylanty. Ale przedtem Szymon pchnął nogą woreczek, który upadł w wąwóz.

Postać czarna schodziła ciągle powoli ze wzgórza, i zdawało się, że nie słyszała ostatnich krzyków Corinny, ani odgadywała katastrofy strasznej, zaszłej tu przed chwilą.

. . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.